

ELIZA

ORZESZKOWA

DAJ KWIA TEK

Eliza Orzeszkowa

Daj kwiatek

«Public Domain»

Orzeszkowa E.

Daj kwiatek / E. Orzeszkowa — «Public Domain»,

Historia życia Chaity — o tym, jak życiowe zakręty doprowadzają człowieka na skraj nędzy i ubóstwa. Bohaterką utworu Daj kwiatek jest stara kobieta, łachmaniarka, która przechadza się ulicami Ongrodu. Chaita, o której mowa w tekście, nie zawsze trudniła się poszukiwaniem szmat. Urodziła się na wsi i jako ładna, młoda dziewczyna została wydana za mąż za ubogiego mężczyznę, którego majątek stanowił wóz i koń. Co sprawiło, że kobieta spędza ostatnie lata swojego życia na ulicy? Dowiedziecie się z noweli Elizy Orzeszkowej Daj kwiatek. Autorka przedstawia czytelnikom historię biedaczki, uzasadniając to chęcią dogłębnego poznania losów ludzi niemających środków do życia i tego, co doprowadziło ich do takiego punktu. Wiedza ta jest dla literatów szczególnie cenna i stanowi źródło ich mądrości. Eliza Orzeszkowa jak nikt inny potrafi opowiadać ludzkie historie w sposób realistyczny, unikając oceniania.

© Orzeszkowa E.

© Public Domain

Eliza Orzeszkowa

Daj kwiatek

Na ulicach miasta Ongrodu ludno i gwarno. Jadą tam, idą, śpieszą, rozmawiają, śmieją się, hałasują na sposób różny. Środkiem ulic suną z łoskotem powozy; bokami, na chodnikach wązkich, tłumnie wymijają się piesi przechodnie, z których każdemu pilno do kogoś, kędyś, po coś...

Wśród tłumu tego, czy spostrzegacie państwo starą tę kobietę, powoli, z trudnością przesuającą się najskrajniejszym brzegiem ulicy, u samych ścian wysokich kamienic, o które ociera się często łachmaniasta jój odzież, do których też przypiera ona niekiedy zgarbione swe plecy, – stając na krótkie wypoczynki z piersią dyszącą ciężko i z kroplami potu występującymi na zmarszczone czoło? Zmęczoną jest widocznie, ale nie dzisiejszą tylko wędrownką. Dnie, miesiące, lata, całe długie już życie przewędrowała w sposób podobny, wśród tłumu, spychającego ją na miejsca ostatnie i najmniej wygodne, pomiędzy najostrzejsze kamienie bruku, ku najchłodniejszym od mrozów, lub najgorętszym od skwarów, murom domowstw miejskich. To też popatrzcie państwo, jak przygarbiła się, rzec można, w łęk zgięta dość wysoka jednak jój postać, jak wychudła i malutką stała się twarz jój, okryta zgrubiałą i ciemną skórą, jak żółkły i pomiędzy sterzące kości policzków głęboko wpadły jój wargi, jak spłowiały oczy jój, czarne snadź niegdyś, i jak nad spłowiałymi źrenicami temi drga i mruży się żółta, z rzęs obrana, malutka powieka. A na czole jój nizkiem, ciemnem, ileż zmarszczek! Wygląda czoło to jak karta papieru, która długo tarzała się po miejscach wilgotnych i mrocznych, w kurzu i natłoczeniu, a ręka jakaś twarda, nieubłagana, zwolna lecz ciągle mięta ją i wygniatała w fałdy i zagięcia najrozmaitsze. Nad czołem tém włosów niewidać, bo głowa kobiety owinięta jest chustką, która, pomimo starości swój, zachowała jeszcze barwę gorącej żółtości. Ciemne centki rozsiane są po żółtym tle tej chustki, końce jój, związane z tyłu głowy, opadają na plecy kobiety, okryte luźnym kaftanem z pstremi łatami, na rękawach, plecach i piersi. Stopy jój, kroczące po ostrych kamieniach, obute są w płytkie skórzane obuwie i sine wełniane pończochy, ukazujące się niekiedy z pod spódnicy krótkiej przybranój u dołu w strzepy różnej długości, we frendzlę niby, ciężką od gromadzącego się na niój przez lata pyłu i błota ulic.

Nie znacie państwo kobiety tej? Ja znam ją z blizka. Imię jój Chaita, zawód – łachmaniarka. Wielki Boże! czy przebaczyście mi państwo, że zaznajamiam was śmiał z osobą, zajmującą tak nizkie stanowisko społeczne? Czy nie powiecie mi, że jest to nieprzyzwoitóm i całkiem niepotrzebnóm z méj strony? Bo naprawdę, cóż wspólnego być może pomiędzy wami a łachmaniarką? Ze wstrętem nawet i pewną urazą ku mnie wymawiacie wyraz ten...

Przebaczcie! Lubię starą Chaitę, a ilekroć patrzę na nią, zdaje mi się zawsze, iż pomiędzy nią a mną istnieje jedna wielka, ścisła, nierozzerwalna wspólność. Ja i ona należymy zarówno do tej ogromnej rodziny, która zwie się ludzkością! Krewna to więc moja i – raz jeszcze przepraszam państwo – ale i wasza także. Jest to prawda, przeciw której żaden wstręt, pełen wytworności uczuć, żadna wysoka ściana, pełen złocień i ozdób, żaden giest białej dłoni, pełnej pierścieni i wzdardy – nic nie mogą. Co się zaś tycze nizkiego stanowiska, jeżeli-by wysokości stanowisk ludzkich mierzonemi bywały wedle przeniesionych cierpień i mozołów, upewniam państwo, że Chaita, łachmaniarka, stała-by na starość dni swoich bardzo, o, bardzo wysoko!...

Łachmaniarką zresztą nie była ona zawsze. Przeszłość jój... Mam dziwny, dziwny popęd do dowiadywania się, do odgadywania przeszłości istot takich, z pomarszczonemi czołami i drżącą, żółtą powieką, przysłaniającą źrenice krwawe od łez przelanych, spłowiałe od czasu, który przeglądał się w nich tak długo, aż wsiąknął w siebie barwę ich i blask. Raz, pamiętam, w zagranicznej jakiejś galerii obrazów, zobaczyłam malowaną twarz taką. Długo, zaniedbując wiele pięknych pejzaży, i cudownych portretów dam w aksamitnych sukniach, stałam przed twarzą tą starą, zmiętą, spoglądałam w błądą jój źrenicę, uśmiechałam się do biednych warg jój, uwiedłych i wklęsłych, i zapytywałam ją w myśli méj:

jaką byłaś za młodu? gdzie żyłaś? kogo kochałaś? jakie cierpienia, pociechy, zawody, prace, znaczyły długą drogę twoją, nim zawiodły cię na brzeg mogiły, w którą wnet położysz się, taka zmęczona?

Wierzajcie państwo, niczego w życiu nie pragnęłabym tak bardzo, jak znać historye, całe, od początku do końca, historye wszystkich niskich, biednych, zmiętych w dłoni losu i czasu, przygarbionych i pomarszczonych, zmęczonych. Żądanie to zresztą niema w sobie nic wspaniałomyślnego. Nie jest ono wcale bezinteresowne. Znajomość bowiem wielu, wielu historii podobnych stanowi dla człowieka – bogactwo serca, dla pisarza – żywy źródło mądrości. Śmiem nawet ubolewać mocno nad pisarzem każdym, który historii takich nie ciekaw jest i nie świadom. Uboga w struny musi być lutnia jego i blade farby na jego palecie...

Chaita nie zawsze była łachmaniarką. Za młodu, czy uwierzycie państwo? – była ona smukłą, hożą dziewczyną, z rumieńcem na śniadą twarz, z kruczym warkoczem i czarnym okiem, w którego płomienne głębokości patrząc, można było myśleć o blaskach, upałach i rozkoszach wschodniego nieba. Urodziła się we wsi – za pozwoleniem państwa – w karczmie. Była to malutka nawet karczemka, mroczna, ciasna, z pochyłymi ścianami i przegniłym dachem. Ale dokoła niej słały się wspaniałe kobierce łąk przedziwnej świeżości, szerokie niwy białeły w zimie puszystym posłaniem nieskazitelnie białego śniegu, a w lecie płynęły złotą falą dojrzałych kłosów; w pobliżu, wśród niezabudek, wił się strumień, dzień i noc dzwoniący jak srebro, a dalej nieco dębowe gaje, kryły się wieczorami za woale białawych mgieł, rankami zaś wstawały różowe od świateł jutrzeńki... Był tam jeszcze niedaleko, o kroków kilkaset od karczemki, ogród stary, rozległy, wspaniały odwiecznymi drzewami i barwisty mnóstwem kwiatów. Należał on do dworu, którego też własnością była biedna mała karczemka, dzierżawiona od dziedzica wsi przez ojca Chaity. Biedną była karczemka, biednym dzierżawiący ją arendarz. Dzieci miał wiele, żenił też synów i za mąż wydawał córki, jak mógł – nie zbyt świetnie zapewne. Chaite, gdy dosięgła lat piętnastu, zaswatano do miasta Ongrodu; została żoną Lejby, człowieka dość ubogiego, bo za cały majątek posiadającego wóz i konia. Wozem i koniem woził on z młyna ciężkie wory ze zbożem i mąką. Z powodu tej ostatniej, przez całe życie wyglądał, jak Albinos, z białą twarzą i odzieżą, z białymi włosami i brwiami. Gdy tylko poruszył się, mąka sypała się z niego, jak sypie się śnieg z człowieka, który długie godziny przepędził na śnieżnej zamieci.

Chaita, wraz ze wstąpieniem na bruk miejski, rozstała się na zawsze z idyllą dzieciństwa swego, z zieloną łąką, w której wysokich trawach sypiała niegdyś godzinami całymi, ogrzewana słońcem majowym, a ochładzana gałęzmi rozłożystego głogu, które, powiewając nad nią niby wachlarze, szeptały wciąż do jej ucha niewyraźne jakieś, łagodne, marzące powieści; rozstała się ze strumieniem, w którego falach płaczące brzozy zatapiały zwiśnię swe ramiona, a ona, zwiesiwszy się u jednego z ramion tych, zwolna wraz z nim kołysała się nad falami, które płynęły wciąż, płynęły, srebrnie dzwoniły i niby czarnymi gwiazdami migotały odbiciem oczu wpatrzonych w nie dziewczyny; rozstała się z niwą, w której wysokich kłosach z głośnym śmiechem chowała się przed swawolnymi braćmi, i ze starym, dworskim ogrodem, do którego wolno jej było wejść czasem, pod sklepieniem odwiecznych drzew jego poważnie pochodzić i na prześliczne kwiaty, rosnące w nim, z zachwytem popatrzeć. Rozstała się z biedną karczemką ojcowską, w której stajni beczało kóz kilka, serdecznych jej przyjaciółek, w której ciasnych izdebkach krzątała się pracowita matka o zwiędłej twarzy i cierpiącym, łagodnym wejrzeniu, a przed której progiem zasiadał niekiedy wieczorami brat starszy, i wśród ciszy wieczornej wydobywał ze skrzypiec nieuczone, niesforne, ale takie przeciągłe, smutne tony. Wtedy, przy młodym bracie, siedzącym na niskiej ławie, siadywała ona także i, na szyję zarzuciwszy mu ramię, słuchała gry jego, a wzrok topiła w białej mgłę, kłębiącej się po łąkach, na kształt wód, kołysanych wiatrem. Grając, brat miewał czasem łzy w oczach. Zapytywała, czego płacze? Nigdy jej nie odpowiadał. Oboje nie wiedzieli na pewno, czego im smutno. Ciemni byli, niewiedzący. Mgła, tak gęsta, jak ta, która podnosiła się nad łąkami, tylko nie tak do rozwiania łatwa, stała pomiędzy oczyma ducha ich, a światem. Jednak tęsknili za czymś, czegoś pragnęli, czegoś im było żal i lęk... Żalowali tego może, czego nigdy posiadać nie mieli, przeczuwali może ciężką przyszłość... Gdy brat Chaity grał coraz przeciągłej, coraz smętniej, drobne rodzeństwo zbierało się

u kolan jego i podnosiło ku niemu zasłuchane twarze; w ciemnej sionce matka wzdychała głośno, a ojciec, z długą, rudą brodą i okiem posepnym nieco pod zbrudzonym czołem, modlił się w izbie przed oknem, coraz głośniej, coraz żarliwiej, coraz jękliwszemi i śpieszniejszemi zawodzeniami...

Wraz z pierwszym wstąpieniem na bruk miejski, rozstała się z tym wszystkimi Chaita, a może i z czymś więcej jeszcze... Może kiedyś, w upalny dzień letni, srebrne fale strumienia, nad którymi kołysała się, u gałęzi brzozy płaczącej zwieszona, ukazały ognistym, szeroko wśród marzenia rozwartym jej oczom urodziwego młodzieńca jakiego, z miękką dłonią, namiętym okiem, a czołem jaśniejącym mądrością tych wielkich, starych mistrzów Izraela, o których słyszała, jak nieraz ojciec jej opowiadał jej braciom... Być może... wszak nie koniecznie trzeba być królową, aby marzyć o szczęściu... Marzą o nim może i te bosonogie żydóweczki w podartej odzieży, które widujecie czasem państwo w pobliżu brzydkich karczemek, gdy, siedząc na wilgotnych łąkach, zatapiają w głębie mętnych sadzawek spojrzenia leniwe sennych swych oczu...

Szczęście! *Quel animal est-ça?* – mogła-by dziś, gdyby umiała po francuzku, zapytać Chaita. Ale ona nie umie po francuzku, w rodzinnym więc tylko, bardzo brzydkim żargonie, codziennie z rana stając u okna mieszkania swego, zaczyna pacierz swój od wyrazów: „Panie świata! dziękuję Ci, żeś stworzył mnie tak, jak była wola Twoja!”

Miasto porwało ją – jak atom drobny wpadła w aglomerat tysięcy innych atomów, i wraz z nimi pociągniętą została w wir nieustanny i nieubłagany, wśród którego stopy stopom zazdroszczą każdej piędy zdobytego gruntu, piersi piersiom odkradać usiłują każdą odrobinę powietrza, usta ustom wydzierają każdą okruczę pożywienia, ramiona stykają się i popychają wzajem, czoła goreją od znoju, serca twardnieją, brudzą się i więdną od widoku twardych kamieni, brudnych murów, uwiedłych twarzy, nad którymi nie brzmią i nie przelatują żadne kojące i pocieszające, choćby nawet nierozumiane, głosy, widoki, pieszczoty, swobodnej, świeżej przyrody...

Co tu czynić, ażeby żyć; mężowi, którego obrazu nie ukazywały jej wprawdzie srebrne fale strumienia, w ciężkiej pracy dopomódz; dzieci, które otaczały ją coraz liczniejszym gronem, wyżywić, wychować? Czyniła mnóstwo rzeczy. Roznosiła po mieście drobne towary, w kilkunastu małych pudełkach zamknięte, którymi tak owieszała się cała, że miała zdala pozór kobiety, garbatęj z przodu i z tyłu; potem roznosiła znowu owoce w wielkich koszach, których ciężar czynił chód jej kołyszącym się na obie strony, jak gdyby była srodze kulawą; potem jeszcze...

Lecz nie będę opowiadać dłużej, czym była i co przez całe długie życie swe czyniła Chaita. Jedną tylko rzecz powiedzieć muszę. Bardzo często chodziła na cmentarz – na ów cmentarz izraelski, który tam, o wiorstę od miasta, na piaszczystym gruncie, wśród niskiego, ceglanego ogrodzenia, sterczy lasem czerwonych kamieni. Chaita chodziła często na piaszczyste to wzgórze, a gdy szła, przed nią jechał i po nierównym bruku trząsł się i dygotał wóz z podłużną drewnianą skrzynią. Za wozem idąc, Chaita, zanosila się zwykle od płaczu; a kiedy potem z przechadzki tej do domu wracała, piaszczyste wzgórze sterczało jednym kamieniem więcej. Na kamieniach tych wypisywały się następnie imiona różne: męża Chaity, brata jej, który był dla niej bardzo dobrym, matki, mieszkającej przy niej na starość, syna, który brylantem był w wyplakanym jej oku, córki, która jak róża kwitła w cierniowym jej wianku...

Jak się zdarza z wielu starymi ludźmi, Chaita, przez śmierć lub oddalenie potraciła wszystkich swoich... Jedni pomarli, drudzy odjechali daleko, inni zubożeli... wśród własnych trosk i licznych przywiązań, zapomnieli o niej...

Jest ona samą na świecie. Skupuje starą odzież; niekiedy nawet, wyrzucone przez okna domowstw, stare łachmany ze śmietnisk podejmuje, nosi je na plecach w wielkim koszu z łozy uplecionym, osobliwy towar ten sprzedaje osobliwszym jeszcze od niego nabywcom i – żyje...

Wyobrażacie sobie państwo zapewne, iż żyje ona bez wszelkich już pociech i przyjemności, że nic na świecie całym niema, coby zgasłe oko jej rozpałić mogło iskrą błyszczącą, a na wargi uwiedle wywołać uśmiech pieszczotliwy, niemal radośny? Mylicie się! Spójrzcie teraz na Chaitę, gdy zgięta pod ciężarem kosza swego, przesuwa się brzegiem ulicy, podartym kaftanem swym ściany

domostw wyciera, a płytkie obuwie jęj co chwila o ostry kamień zaczepia się i z nóg jęj spada, tak, że zatrzymuje się i z gniewnym mruzeniem coraz w nie na nowo stopę swą w sinęj pończosze wsuwać musi. Spójrzcie teraz na nią! Podniosła nieco głowę w żółtęj chustce, oko jęj strzeliło iskrą prawie gorącą – uśmiechnęła się i chrapliwym, dygocącym głosem zawołała:

– *Chaimkie!* nu! *Chaimkie!*

Mały, sześćioletni chłopak, przebiegający ulicą, usłyszał jęj wołanie, przypadł do nięj, zarzucił oba ramiona na schyloną jęj szyję, pocałował głośnie zmarszczone jęj czoło i wnet, odwróciwszy się, ze śmiechem i krzykiem, pogonił za gromadą starszych i młodszych chłopców, pełnym galopem pędzących w stronę, kędy przed niewielu dniami wywieszono szyld ogromny, z wymalowanym na nim olbrzymem w różowych *inexprimablach* i zielonęj bluzie. Za wejście do przybytku, w którym ukazywano olbrzyma, płacić trzeba było; portretowi jęgo, wywieszonemu na ścianie domu, Chaimek i towarzysze jęgo przypatrywali się godzinami całemi bezpłatnie.

Chaita nie była samą na świecie. Chaimek był jęj wnukiem po najmłodszej córce, po tęg właśnie, która przez czas krótki kwitła, jak róża, w kolczatym wieńcu jęj życia. Śmierć zwiwała z ziemi różę staręj łachmaniarki, ale ona upatrywała żywy jęj obraz w pozostawionem przez nią dziecięciu. Chaimek miał włosy matki, kasztanowate i wijące się w mnóstwo pierścieni, a oczy takie, jakie niegdyś miała babka jęgo, czarne, wielkie, szeroko rozwarte wśród ściągłęg, bladawęj twarzy. Chaimek był ładnym dzieckiem. Czy uważaliście to państwo, że wszystkie, bez wyjątku prawie, dzieci izraelskiego plebsu, w piérwszych latach dzieciństwa bywają bardzo ładne? Potem stopniowo twarze ich chudną, źrenice gasną, usta pobladłe otwierają się z wyrazem gapiowatego osłupienia. Wyrostki i podlotki posiadają już najpowszechnięj pozory chorobliwości i leniwego znękania. Nie wiem, co właściwie obiera je tak szybko i nieubłaganie ze świeżości i wdzięków. Czy widzieliście państwo kiedy mieszkanie ich rodziców? Czy zbadaliście wraz z uczonym niemieckim, twórcą *traktatu o żywności*,

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.